POWIASTKI
i
BAJKI
dla Dzieci.

Zebrał i ułożył
Józef Chociszewski.

POZNAŃ.
Nakładem J. Chociszewskiego.
1878.



Huśtawka.

Antoś i Jadwisia wyszli po obiedzie na przechadzkę do ogrodu. „Jadwiniu,“ rzekł Antoś do siostrzyczki, „jabym chciał się trochę pohuśtać.“ „Ależ Antosiu,“ odrzekła Jadwisia, „czyż nie wiesz, że nam samym huśtać się nie wolno?“

„I co mi tam bredzisz o tém nie wolno. Byle jeno nikt nie widzi, to wszystko wolno.“

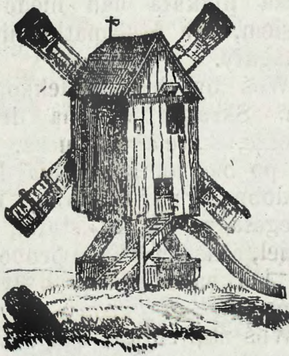
Na to Jadwinia: „Oj Antosiu, jakiś ty nie dobry. Taty i mamy trzeba zawsze słuchać, choć nie widzą.“

Antoś nie uważał na mowę

siostry, tylko zobaczywszy huśtawkę, poleciał i wsiadł zaraz na jeden koniec deski. Sam się huśtać nie mógł, nuże tedy w proźby do Jadwisi, aby usiadła na drugi koniec deski.

Dziewczynka usiadła, atoli wkrótce Antoś z deski zleciał i uderzył się mocno głową o ziemię, gdyż za prędko deską poruszał. I Jadwisia zleciała, a choć się tak mocno nie uderzyła, to powalała sobie rączki i sukienkę.

Wtem na to nadeszła mama. Dzieci przestraszone zaczęły przepraszać. Mama rzekła: Jeszcze ten jeden raz wam daruję, ale jeżeli kiedykolwiek bez zezwolenia huśtać się będziecie, spotka was surowa kara." Antoś i Jadwisia już się więcéj bez pozwolenia rodziców nie huśtali.



Straszna przygoda przy wiatraku.

Woś był bardzo niegodziwym chłopcem. Do szkoły chodzić nie chciał, matki nie słuchał i wciąż figle płatał. Wybierał ptakom młode i jajka, bił psy i koty, i wciąż się sprzeciwiał dzieciom. Nikt go też nie lubił.

Matka płakała nad niedobrym Wosiem, ale łzy matki nic nie pomagały.

Woś był bardzo lekkomyślnym. Skrabał się na drzewa wysokie, strzelał z klucza, chodził po bagnach, zaczepiał konie i podobne płatał sprawki. Przestrzegała go matka, starsi, nauczyciel, a nawet ksiądz proboszcz, lecz ich napominania były daremne.

Woś stał się tak rozpustnym, że nawet nie dał pokoju wiatrakowi. Było to dlań ulubioną zabawką przelatywać pod śmigami wiatraka. Dostał za to nieraz porządnie rózgą, ale Woś od swego nie odstąpił.

Razu pewnego zwołał Woś kilkoro dzieci, aby im pokazać nowe próby przelatywania pod śmigami wiatraka. Dwom chłop-

com tak się to spodobało, że też zaczęli pod śmigami przelatywać. Korciło to Wosia, że ci chłopcy tę samą sztukę umieli, a zatem żeby się nad nich wywyższyć, zaczął przelatywać pod śmigami i jeszcze do tego koziołki wywracać. Udało mu się to kilka razy. Atoli za czwartym razem potknął się, a nim zdążył się namknąć, już śmiga przecięła go na połowę. Okropny to był widok. Krew lała się potokiem. Ciało drgnęło kilka razy i już było po Wosiu. Taki okropny koniec spotkał tego nieposłusznego chłopca.

Niech ten straszny przykład będzie nauką dla niesfornych dzieci.

Kominiarczyk.

Piotrek wstąpił w naukę do

kominiarza. Został zatem kominiarczykiem. Wchodził śmiało w kominy i wydrapywał sadze. Oto patrzcie — właśnie wyszedł z komina, trzymając drabeczkę i miotłę i idzie śmiało po szczycie dachu, jakby po ziemi.



Razu pewnego spuścił się Piotrek kominem i wszedł do pięknego pokoju. Było tam mnóstwo prześlicznych rzeczy. Spodobał się szczególnie chłopcu ładny złoty zegarek. Zaczął go z upodobaniem oglądać. Kiedy tak ogląda, nagle napadła go pokusa, aby wziąść zegarek i uciec z nim w komin. „Przecież nikt

nie widzi,“ pomyślał sobie, „a śliczny zegarek będzie moim.“

Już, już Piotrek sięgał po złoty zegarek, wtem przychodzą mu na myśl napomnienia matki. „Siódme nie kradnij,“ zabrzmiało mu nad uchem. Wnet Piotrek tą samą ręką, którą miał rzecz cudzą porwać, przeżegnał się a potem buch w komin.

Jeszcze nie koniec powiastki. Piotrek myślał, że go nikt nie widzi, atoli tak nie było, gdyż widziała go pani, ukryta za cienką ścianą z desek. Ta kazała go sobie zawołać i tak doń rzekła: „Przekonałam się o twojéj uczciwości. Będę się tobą opiekowała. Skoro zostaniesz czeladnikiem, dostaniesz srebrny zegarek, a gdy majstrem, dam ci tyle, ile ten złoty zegarek kosztuje tj. 300 złotych.“ Jakóż

dobra pani dotrzymała słowa, a pan majster Piotr żyje po dziś dzień i dobrze mu się powodzi.



Chciwy pies.

Szedł pies, trzymając kawał mięsa w pysku, przez kładkę nad strumykiem. W czystéj wodzie odbijała się jego postać, niby w zwierciedle. Pies sądził, że to drugi pies niesie także kawał mięsa. Powodowany zazdrością,

chciał mu to mięso porwać, jakóż niewiele myśląc wskoczył we wodę. Wtém wypadło mu mięso z pyska i odpłynęło, a tak zamiast dwóch kawałów, nie miał chciwy pies żadnego.

Jestto bajka dla dzieci, aby nie były chciwemi i nie zazdrościły innym dzieciom, jeźli co mają. Dziateczki kochane, nie bądźcie łakomemi i chciwemi, bo to bardzo niełądnie a przytem chciwość jest wielkim grzęchem.

Piesek Ami idzie na wędrówkę.

Pewna pani miała pieska, który się wabił Ami. Miał on bardzo dobrze, gdyż spijał mleczko, dostawał mięsa, a pani go głaskała i dobrze się z nim obchodziła. Nikt mu w pałacu nic złego nie zrobił. Chodził téż Ami z panią na przechadzki.

Miał Ami bardzo dobrze, atoli chciał mieć jeszcze lepiéj. Nic tedy nikomu nie mówiąc, wybiegł



razu pewnego z pałacu i poszedł w świat na wędrówkę. Z początku bardzo mu się podobało.

Chwytał w polu motylki, gonił ptaszki, tarzał się w piasku i szczekał z wielkiéj radości.

Zobaczywszy starego psa Kundysa w budzie, poszedł do niego aby się z nim zabawić. Atoli Kundys nie znał się na żartach. Pochwyciwszy za kark Amisia rzucił go o ziemię i chciał jeszcze poprawić, szczęściem że Amiś uciekł.

Idzie Amiś daléj, wtém ujrzy kotkę z kociętami. Dalejże do kociąt na zabawkę. Kotka stara, sądząc, że Amiś chce jéj kociaki zagryźć, uderzyła na niego, i tak go podrapała, że Amiś zaczął wyć z bólu i uciekać, jak oparzony.

„A co téż to za lud ordynarny,“ pomyślał sobie, jednak to w pałacu inne były psy i koty.“

Przyszedł Ami na południe

do miasta. Okropny głód zaczął mu dokuczać. Widząc u rzeźnika mięso, poszedł bez ceremonii do sklepu i zaczął w najlepsze pożerać kawał cielęciny. Zobaczywszy to rzeźnik, chwycił za bat i tak wysmagał Amisia. że ten popamiętał owe batogi przynajmniéj ruski miesiąc.

Idąc ulicą, rozmyślał sobie Ami nad swym smutnym losem, aż tu ni ztąd ni zowąd napadło nań kilku uliczników. Sprawili mu ci niesforni chłopcy porządną łaźnię.

Amiś zaczął myśleć o powrocie do domu. Puścił się tedy, ale cóż w drodze schwycił go jakiś pasterz i zaczął go przyuczać zawracania bydła od szkody. Bił on biednego psa bez litości, a prawie nic źréć nie dawał. Uciec nie mógł Ami, gdyż

był zawsze na sznurku trzymany. Dopiero po kilku dniach udało mu się wyrwać od srogiego pastucha. Spieszył wtedy do domu, choć dészcz padał ogromny. Przybył nakoniec w nocy, ale brama zamknięta, a choć wył, co miał siły, nikt mu nie otworzył. Dopiero rano wpuszczono go do pałacu. Pani przyjęła go znowu, ale już go tak nie lubiła, jak dawniéj.

Zdarza się często, że i dzieci chciałyby się w świat puścić, a nawet były przykłady, że cichaczem dom rodzicielski opuściły. Niechże te dzieci, pragnące wędrówki, przypomną sobie przygody pieska Amisia.

Na obrazku widzicie Amisia, jak wśród deszczu leci do domu.



Osieł w lwiéj skórze.

Uciekł osieł młynarzowi, bo jako zwiérz leniwy nie chciał pracować. W lesie znalazł lwią skórę. „Nic nad to lepszego“, pomyślał osieł, „skoro teraz tę skórę wciągnę na się, to zwierzęta i ludzie będą myśleli, że jestem lwem.“ I aż zaryczało oślisko *ya* z wielkiéj radości.

Bierze tedy osieł na się lwią skórę i idzie do zwierząt. Płochliwy zając, piękna sarna i jeleń, nawet wilk i niedźwiedź,

widząc zdala lwa, zaraz uciekać zaczęły. Cieszył się osieł wielce z tego przestrachu. „A co to będzie,“ mówił sam do siebie, „skoro po lwiemu zaryczę.“ Jakóż ryknął przeraźliwie tylko że nie jak lew, ale jak zwykły osieł, powtarzając „*ya ya.*“

Skoro zwierzęta głos ten usłyszały, tak zaprzestały uciekania, a z osła szydzić zaczęły. Właśnie téż szedł parobek od młynarza, szukając osła, który uciekł. Sądząc po lwiéj skórze zdaleka, myślał że to lew, ale gdy głos ośli usłyszał, postąpił śmiało naprzód, a złapawszy pana osła za uszy, zaczął porządnie kijem po plecach obkładać, a potém tak mu powiedział: „Jeżeliś osłem, to bądź osłem, głupcze, bo powierzchowność lwa nie stanowi.“ Potém zaprowadził osła

do młyna, gdzie go znowu do roboty zaprzężono.

Ztąd płynie nauka dla ludzi, aby się nie dać łudzić powierzchownością, i aby nie sądzić, że ładny ubiór stanowi wartość człowieka. I najpiękniejszy ubiór i największe bogactwa nic nie znaczą, jeżeli ich posiadacz jest głupim, nieoświeconym człowiekiem. A więc uczcie się dzieci, abyście były mądremi, a nie głupiemi jak osły.

Lew i mysz.

Drzymał sobie lew spokojnie pod palmą, gdy oto mysz z pustoty, czy też przypadkiem go obudziła, biegając po jego ciele. Zbudził się lew i ryknął potężnie rozgniewany, że mu ktoś śmiał we śnie przeszkadzać. Ujrza-

wszy myszkę, pochwycił ją w łapy.

„Jakżeś śmiała mi sen mój przerywać,“ odezwał się do zlęknionéj myszy, „przypłacisz to życiem.“



„Ach panie i królu,“ odezwała się myszka, „daruj mi to przewinienie, już więcéj coś podobnego nie uczynię, i cóż ci przyjdzie z méj śmierci? Może i ja ci będę mogła kiedy dopomódz. Bądź wspaniałomyślnym, królu.“

„Ty mi chcesz dopomódz,“ zawołał lew ze śmiechem „ale mniejsza o to, daruję ci życie, bo i cóż mi przyjdzie z twéj śmierci. Idź sobie więc do swéj dziury.“

Po tych słowach puścił mysz, a ta dziękując, poszła do swego mieszkania.

Niedługo potem schwytał się lew w zastawione sieci, i mimo największych wytężeń nie mógł się uwolnić, owszem plątał się coraz więcéj. Już sądził lew, że po nim, gdy oto nadbiegła mysz wdzięczna, a przegryzłszy sieci, uwolniła króla zwierząt.

Ta bajka uczy nas, aby nikim nie gardzić, bo i najbiedniéjszy może nam być pożytecznym, a zresztą i tak dla każdego uczynnym być trzeba, bo Jezus

Chrystus kazał nam wszystkich bliźnich miłować jak braci.

Nie pogardzaj ubogimi, gdy jesteś bogaty.
Bo nie czynią nas wielkimi klejnoty i szaty.



Powiastka o kolibrze.

Kolibry nie żyją w Europie. Przebywają one w dalekiéj Ameryce. Są to maluczkie ptaszęta, owszem najmniejsze. Są różne gatunki kolibrów, większe i mniejsze. Najmniejsze kolibry budują sobie gniazdka, niewiele co większe od połowy włoskiego orzecha, a jajka składają tak duże,

jak groch cukrowy. Są to ptaszki niewiele co większe od naszych trzmieli, owadów, które z kwiatów miód wysysają.

Kolibry są maleńkie, ale prześliczne. Najcudniejszemi błyszczą barwami. Wszystkie kolory je zdobią. Są czerwone, jak rubin, żółte, jak złoto, zielone, jak szmaragd, niebieskie, jak szafir, a barwy te się mienią i wydają blask, jakby słońce świeciło. W naszym kraju nie ma tak pięknych ptaków. Ależ powiastka o kolibrze, zapytacie. Dobrze — niech będzie powiastka.

W południowéj Ameryce żyła w wielkiém mieście uboga wdowa, mająca synka jedynaka Johna, co znaczy na polskie Jana. Chłopczyk ten miał lat dziesięć. Dopomagał, jak mógł matce,

ale nie wielką była jego pomoc. Matka cierpiała wielką nędzę. Chłopczyna płakał nieraz tajemnie, że kochanéj matce nie może dopomódz.

Razu pewnego dowiedział się, że za parę ładnych kolibrów można dostać 20 dolarów tj. przeszło 20 talarów. Dwadzieścia dolarów — toć to skarb wielki — pomyślał sobie Jaś, wszakżeżby matka mogła za te pieniądze zapłacić całoroczne komorne. Ale zkąd tu dostać kolibrów.

Jaś wciąż tylko marzył o kolibrach. W nocy śniło mu się o tych prześlicznych ptakach.

O dwie mile od miasta był las olbrzymi, odwieczny. Tam tysiące małp hasało po drzewach, i pełno było ptaków najrozmaitszych od orła aż do kolibra.

Jaś, niewiele się namyślając,

poszedł pewnego razu do tego lasu. Szedł chłopiec biedny, aż téż i zaszedł do lasu. Było to już pod wieczór. Słońce zachodząc, rzucało ostatnie promienie. Ptaki dźwięcznie śpiewały, a las szumiał poważnie, uroczyście, wspaniale, niby organy w kościele.

Jaś się zatrwożył. Co tu począć? Dokuczał mu głód. Szczęściem, że znalazł nieco poziomek, któremi zaspokoił natarczywość głodu. Położył się potem pod drzewo i usnął, zmówiwszy pacierz i poleciwszy się Bogu.

Rano obudził się Jaś, gdy już słońce świeciło. Spojrzy chłopiec obok siebie, aż wtém ujrzy o kilka kroków leżącego spokojnie potężnego węża. Zadrżał Janek — i dalejże ucie-

kać. Leciał, leciał, aż téż i zabłądził.

Jaś był sam, samiuteniek w lesie. Drzewa były tak olbrzymie, jak kościoły, a na nich się pięły olbrzymie powoje, obsypane niezliczoném kwiciem. Wielkie ptaki i małpy przelatywały z drzewa na drzewo. Olbrzymie paprocie, tak wielkie, jak nasze drzewa, tu i owdzie rosły.

Jaś błądził i błądził, ale drogi znaleźć nie mógł. Pokaleczył się mocno o kolczyste ciernie.

Znużony ukląkł pod drzewem i zaczął się rzewnie modlić do Boga. „O dobry Boże! zmiłuj się nade mną, zmiłuj się nad moją matką. Nie dozwól, abym zginął w tym lesie. Dopomóż mi wielki Boże, a całe życie będę Cię wielbił i będę żył cnotliwie.“

Pokrzepiony modlitwą poszedł daléj. Niedługo przyszedł na piękną łączkę, na któréj rosły najpiękniejsze kwiaty. Szczególny widok zwrócił uwagę chłopca. Oto tysiące latało ptaszków swobodnie po téj łączce. Boże — co téż to były za ładne stworzenia. Napatrzeć się na nie Jaś nie mógł. To były kolibry.

Ach! gdybym mógł złapać choć jednego, pomyślał Jaś sobie. Wtem widzi kilkanaście kolibrów, latających niespokojnie naokoło krzaka. Postąpi Jaś bliżéj i ujrzy ogromnego pająka, cztery razy tak wielkiego, jak kolibr, idącego do gniazda kolibrzego, aby pożreć młode. Właśnie w téj chwili pochwycił pająk starego kolibra, i wnet go zadusił. Poskoczył Jaś i uderzył kijem, a pająk zleciał na

ziemię. Patrzy Jaś, a tu leży na ziemi kilka cudnych kolibrów, od owego pająka zabitych. Pozbierał je Jaś, a i pająka zabrał z sobą. Wziął i gniazdko z młodemi. I samica przestraszona pająkiem, dała się wsadzić do klatki. Roztropny Jaś nazbierał kwiatów i włożył do klatki, a kolibrzyca ssała z nich słodycz i żywiła młode.

Uszczęśliwiony Jaś chce iść do domu, ale cóż kiedy nie wiedział drogi. Dopieróż strach go ogarnął. Cóż mu pomogą kolibry, kiedy z lasu nie wyjdzie.

Szedł jednak Jaś w nadziei, że może wyjdzie na otwarte pole. Gdy tak idzie, usłyszy naraz jęk jakiegoś człowieka. Pobiegł w to miejsce, zkąd go jęk dochodził, a wnet zobaczył strzelca, ciężko rannego. Ten prosił go

o trochę wody. Przyniósł mu Jaś wody i poziomek. Strzelec pożywił się i obmył sobie rany. Opowiedział potém Jasiowi, że go dzicy Indyanie tak poranili. Uspokoił chłopca, że wie dobrze drogę do miasta. Pokrzepiwszy się nieco udał się w drogę. Szli powoli. Niedługo ku wielkiéj radości Jasia wyszli z lasu i zobaczyli w dali miasto. Po kilku godzinach stanęli u celu.

Jaś za poradą strzelca podał w gazety, że ma na sprzedaż żywe i zabite kolibry. Wnet hurmem się zaczęli cisnąć bogacze, aby kupić kolibry. Za młode z gniazdkiem i z samicą dostał Jaś tysiąc dolarów, za nieżywe kolibry 50, a za pająka nawet 10 dolarów

Już potém Jaś i matka biedy nie cierpieli. Tak Bóg po-

błogosławił Jasiowi, za to, że szczérze kochał matkę.



Gwiazdka.

Staś i Marynia mieli dość zamożnych rodziców, dla tego téż co rok dostawali sutą gwiazdkę. Dzieci téż cieszyły się zawsze bardzo na gwiazdkę, a już kilka tygodni naprzód wciąż o gwiazdce rozmawiały.

Zeszłego roku trzy tygodnie przed gwiazdką wybuchnął pożar niedaleko wsi, gdzie Staś i Marynia mieszkali. Kilkanaście rodzin zostało bez mieszkania, chleba i ubioru. Staś i Marynia

ubolewali nad losem nieszczęśliwych pogorzelców. Myślały te dzieci nad tém, jakby i ze swéj strony przyjść w pomoc tym nieszczęśliwym. Nakoniec wpadły na myśl szczęśliwą, gdyż prosiły rodziców, àby im nic na gwiazdkę nie kupowali, a pieniądze na podarki przeznaczone, aby oddali pogorzelcom. Rodzice uradowani, że ich dzieci mają tak dobre serca, uściskali Stasia i Marynię.

Nadeszła gwiazdka. Rodzice kazali tylko jednę chojenkę przystroić dla dzieci, atoli nakupywali podarków i zaprosili dzieci pogorzelców na wieczerzę. Każde dziecko dostało kilka pierników, jabłek i orzechów, oraz jaki stósowny podarek Staś i Marynia sami dzieciom podarki rozdawali. Och! jak się biedne

dzieci cieszyły, jak dziękowały paniczowi i panience.

Staś i Marynia mówili do siebie wieczorem: „Jeszcześmy nigdy nie mieli tak pięknéj gwiazdki.“ Anioł Stróż, unosząc się w powietrzu, błogosławił dobroczynnym dzieciom.

Nie ma nic piękniejszego, jak czynić dobrze bliźnim. Przez dobroczynność staje się człowiek podobnym Bogu.

Adaś dokazał sztuki.

Adaś lubił bardzo ćwiczenia ciała czyli turnieje. Widział on razu pewnego, że starszy jego brat odmierzył sobie prętem rękę od łokcia do średniego palca, i potem chwycił w rękę za pręt w miejscu odmierzoném. Rękę trzymał pod prostym kątem.

Chodziło o to, aby nie zmieniać położenia ręki, tylko dłonią poruszać i doprowadzić do tego, aby koniec pręta ust dotknął.

Adaś długo próbował. Nie chciało mu się z początku udać.



Jednakże w końcu dokazał sztuki i zrobił to samo, co brat starszy.

Ćwiczenia ciała, jak np. skakanie, chodzenie na szczudłach, pięcie się na linie itd. są bardzo zdrowiu pożyteczne, atoli takie

ćwiczenia powinny się zawsze odbywać pod dozorem starszych osób.



Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie.

Dwóch strzelców wybrało się na polowanie, aby zabić niedźwiedzia. Tak już byli pewni pomyślnego skutku, iż już naprzód skórę niedźwiedzią sprzedali. Wchodzą w las, aż tu nie-

długo wali się ku nim potężne niedźwiedzisko.. Strzelcy przerazili się niesłychanie, a zamiast strzelać do niedźwiedzia, jeden skoczył na drzewo, a drugi położył się na ziemi, a zataiwszy dech w sobie, udawał nieżywego. Niedźwiedzie nieżywych ludzi nie tykają, tak i owego strzelca obchodził niedźwiedź i wąchał, ale widząc, że nie oddycha, oddalił się niedługo. Strzelec już był pewnym śmierci, dla tego skoro niedźwiedzia nie było widać zaczął dziękować Bogu za ocalenie. Tymczasem zszedł z drzewa drugi strzelec, pytając towarzysza, co mu niedźwiedź szeptał w ucho? „Oto,“ była odpowiedź, „aby nie sprzedawać skóry, dopóki niedźwiedź w lesie, i że w nieszczęściu można poznać prawdziwego przyjaciela.“ Ztąd miało pow-

stać powyższe przysłowie, używane wtenczas, jeżeli ktoś naprzód, nim coś uczyni, się przechwala. Podobną myśl zawiera też przysłowie: „Struże różenek, a ptaszek na dworze.“



12

Żółw i zając.

Nie ustawajcie dziateczki w pracy, choć wam się początkowo

nie wiedzie, bo wytrwałością najtrudniejsze rzeczy pokonywać można. Kropla wody i kamień w końcu wydrąża, gdy wciąż nań pada. Téj prawdy uczy nas następująca bajka. Raz zając chciał się ścigać z żółwiem. Wymawiał się żółw bardzo, ale zając tak długo nalegał, iż żółw nakoniec zgodził się na wyścigi. Zaufany zając w swą szybkość szydził z żółwia, mówiąc: „Pozwolę ci zupełnie blizko celu wyścigi rozpocząć, tak iż będę miał dziesięć razy daléj, a ja tymczasem się prześpię i jeszcze cię dogonię.“ Jakóż położył się zając i spać zaczął — a żółw powoli szedł do celu. Już tylko dwa kroki miał żółw do uczynienia, gdy zając się obudził, i czemprędzéj do celu pośpieszył. Było atoli zapóźno, gdyż żółw wprzódy cel

osiągnął. Macie to na obrazku wystawione. Powoli zajdziesz najdaléj, tylko nie trzeba ustawać w pracy, a prawie cudów dokazać można.

O Balbisi, co śmietankę zjadła i co ją za to spotkało.

Znam małą dziewczynkę, któréj imię Balbisia. Mieszka ona przy matce w Pelinie i chodzi już do szkoły. Balbisia ma dobre serce, kocha matkę, ale cóż kiedy szpecą ją téż bardzo brzydkie wady. Jest bardzo upartą, tak że już ją nazwano koziołkiem, a przytém i wielką łakomisią. Choć matka mówi, aby nie brać, choćby tyle było co czarno za paznokciem, to Balbisia niejedno cichaczem wzięła. Niedawno ustawiła matka w pokoiku na górze

wielką miskę z mlekiem, aby nazajutrz zebrać śmietanę. Balbisia, będąc sama w pokoju i nie mogąc się oprzeć pokusie, zjadła wszystką śmietanę. Mama każe przynieść miskę, aliści śmietany ani trochę. Dalejże matka pytać się Olesi, Balbisi, Maryjana i Franusia, kto zjadł śmietanę, ale żadne przyznać się nie chciało. Wzywała matka, aby ten szkodnik lub szkodniczka się przyznała, przyrzekając, iż daruje karę, ale i to nie pomogło. Wtedy matka przyniosła rózgę, a uważając iż Balbisia jakoś niespokojne ma wejrzenie, uderzyła ją rózgą, mówiąc, iż to ona zapewne zjadła śmietanę, bo niedawno temu przywłaszczyła sobie parę karmelków, a pomięszanie twarzy okazuje, iż jest winną. Wtedy do-

piero przyznała się Balbisia, ale już za późno. Matka wyliczyła jéj za to 12 silnych rózg a potem tak rzekła: „Nie dość, żeś łakomico zjadła śmietanę, aleś jeszcze i drugi grzéch popełniła nie przyznając się do winy. Przytem z powodu twego łakomstwa niejeden niewinny jest w podejrzeniu, że popełnił łakomstwo. Pamiętaj, popraw się, bo jeszcze sroższe kary czekać cię będą.“

Balbisia płakała i krzyczała przeraźliwie, obiecując poprawę. Przez kilka dni na samo wspomnienie śmietany płakać zaczynała. Mam nadzieję, że się teraz poprawi i że już nie będzie taką łakomą. Jednakże skutki tego łakomstwa nie tak prędko znikną, bo niechno co zginie, to najprzód Balbisia będzie w po-

sądzeniu, gdyż „kto się raz przeniewierzy, temu się więcéj nie wierzy.“ Czemu ta mała Walercia nie jest taką łakomą? Ona nic nie ruszy, a téż nie jest upartą. Niechby sobie Balbisia wzięła przykład z Walerci. Dzieci nie bądźcie upartemi i łakomemi! —

O psie, co swemu panu uratował życie.

W pięknéj wiosce Czerlinie nad rzeką Wisłą mieszkał dawnemi czasy mężny rycerz Dobiesław. Miał on ładnego psa Chwytaja. Był to pies bardzo roztropny i domyślny i kochający swego pana nad życie.

Rycerz Dobiesław szedł nieraz na wojnę przeciw Turkom i Tatarom. Chwytaj zawsze mu

towarzyszył, a choć go i zamknęli, to skoro się tylko na wolność wydostał, zaraz spieszył do swego pana.

Razu pewnego wysłany był Dobiesław z wiadomością do wsi poblizkiéj. Jedzie sobie konno, a wierny Chwytaj za nim, gdy wtém napada na niego trzech Tatarów. Mężny Dobiesław chwycił za szablę i wnet jednego Tatara trupem położył. Dwaj pozostali uderzyli nań z wściekłością. Zawrzała straszna walka. Aż iskry się sypały, gdy szabla o szablę zadzwoniła, a krew obficie płynęła, gdyż tak Dobiesław, jak i Tatarzy ran niemało odebrali. Zabił wreszcie rycerz i drugiego Tatara, ale z trzecim już sobie rady dać nie mógł. Uderzyli na siebie z taką siłą, że obydwom szable pękły. Wte-

dy pochwycili się w pasy. Tatar był chłop silny i barczysty, a że mniéj ran odebrał i mniéj się zmęczył, przeto niedługo rycerza rznął o ziemię, a wnet téż dobywszy dużego noża, chciał Dobiesława zabić. Chwila tylko jeszcze a mężny rycerz żyć przestanie. Wtem atoli Chwytaj rzuca się na Tatara i zatapia swe kły ostre w jego szyi. W kilka minut już Tatar nie żył.

Chwytaj zbliżył się potem do pana, liżąc mu ręce. Dobiesław pogłaskał wierne zwiérzę, a pies widząc, że pan jego ciężko ranny, pobiegł czemprędzéj do obozu, gdzie spowodował niedługo żołnierzy, że poszli za wiernym psem, aby dać pomoc dzielnemu rycerzowi.

Dobiesław wyleczył się z ran zadanych. Wróciwszy do domu

sprawił Chwytajowi piękną złotą obrożę i wystawił mu śliczną budę, na któréj kazał wymalować to zdarzenie, jak pies Chwytaj z tyłu napada na Tatara. Żył ten pies jeszcze bardzo długo, a wszyscy ludzie bardzo go lubili.

Róża.

Za przyjściem wiosny zakwitnęły i róże. Mały Staś chciał sobie urwać różyczkę, ale nie było wolno bez pozwolenia rodziców. Chłopczyk jednak, nie zważając na to, przystąpił do krzaczka i chwycił za śliczny kwiat róży, aby go zerwać. Ledwie go atoli dotknął, tak zaraz krzyknął silnie i płakać zaczął, gdyż skaleczył sobie rękę do krwi kolcami róży, których między listkami nie widział. Na

ten krzyk przybiegł ojciec, a widząc skrwawioną rękę, tak się odezwał: „Chciałeś Stasiu urwać różę bez pozwolenia, a otóż widzisz, jak cię Bóg ukarał. Trzeba słuchać rodziców. Uważaj sobie moje dziecię, że i rozkosze na świecie, zabawy i wesołości, są jak róże ponętne, a kto ich nierozsądnie, zawcześnie i bez pozwolenia rodziców i starszych używa, ten także rani, ale daleko boleśniéj, swą duszę. O Stasiu kochany, weź ztąd naukę na całe życie i nie daj się uwodzić pięknemi pozorami, bo na dnie rozkoszy światowych kolce i ciernie spoczywają.“

Staś przyrzekł sobie pamiętać tę naukę, jakoż nieraz późniéj w życiu to podobieństwo wstrzymało go od niejednego złego.

Zapewne każde z was, moje dzieci, zna róże, które ślicznie kwitną i wonią. Róża jest godłem czyli znakiem miłości, a zwana jest téż dla swéj piękności i woni królową kwiatów. —

Co spotkało pastuszka Kubę.

Kuba pasał bydło pewnego gospodarza. Najczęściéj dzieci, pasące bydło, dziczeją i bardzo złemi się stają. Nie chodzą bowiem do szkoły i do kościoła, nikt ich do dobrego nie zachęca, a że wciąż tylko z niememi zwiérzętami przestają, to téż dziczeją. Tak i Kuba złym był chłopakiem. Dokuczał zwiérzętom, wybierał ptakom gniazda, tłukł jaja, zabijał młode, chrabąszczom odrywał skrzydełka,

słowem okropnie dręczył biedne zwiérzęta.

Razu pewnego Kuba pasąc bydło w borze, ujrzał na wysokiem drzewie ptasie gniazdo, z którego wyglądały pisklęta. Drzewo na podziw było gładkie i wysokie i tylko na samym czubie miało nieco gałęzi, a w gałęziach ono gniazdo z ptaszkami. Niewiele myślący mój pastuszek daléj skrabie się na drzewo. Lecz co podlezie zdziebełko w górę, to zsunie się. A zachciało mu się okrutnie tych ptaszków. A tutaj, choć usiądź i płacz, na drzewo wleźć nie może. Ptaki zaś jak na złość wyścibiają z gniazdka łepki i świergocą. Ów tedy utrapiony pastucha tak się odzywa: Panie Jezu Chryste, daj mi wybrać te ptaszki, a na chwałę Twoję siedm piątków

suszyć będę. Jak tylko to powiedział, tak zaczął się znowu skrabać na drzewo i wlazł na sam czubek. Siadłszy na gałęzi, wybiera ptaszki z gniazda, a chowając za pazuchę mówi nieczciwiara: Ot ciesz się Panie Jezu, jeśli ja Tobie choć jeden piątek będę pościł. A wtém trzask, rym łamie się gałąź, a mój pastuszek z wysokości bęc na ziemię. O mały włos życia nie stracił. W oczach mu się, niby w siedmiu kościołach zaświeciło, ptaszki zaś pouciekały. Leżał długi czas bez przytomności, a potem choć bardzo potłuczony i wielkie boleści cierpiący uklęknął i zmówił pobożnie trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś, dziękując Bogu za ocalenie, a w następną niedzielę poszedł do spowiedzi. Siedm piątków su-

szył, jako przyrzekł i od tego czasu zupełnie się poprawił. A tak wyszło mu na dobre owo spadnięcie.

Kochane dzieci, nie dręczcie zwierząt, bo i one mają czucie i nie na to Pan Bóg je stworzył, abyście je męczyły.

Mądry chłop, co zwyciężył wilka, dzika i niedźwiedzia.

Powiastka ludowa.

Był dawnemi czasy węglarz, człek bogobojny, uczciwy i pracowity. Raz poszedł do boru tlić węgle, a że miał daleko do domu, więc wziął w kobiałkę na parę dni żywności. Wtém spotyka go wilk, i tak doń powiada: „Mój chłopie gotuj się na śmierć, gdyż cię zjem.“ Czy sądzicie, że wilk pożarł węgla-

rza? O nie, bo chłop chodził w młodości do szkoły, dobrze się uczył, zatem miał rozum w głowie.

„Dobrze mój kochany wilku“, rzecze chłop na to, kiedy już inaczéj być nie może, niech i tak będzie. Ale patrz tylko jaki ja czarny, przeto pozwól, iż się wprzód umyję w pobliz-kiém jeziorze, abym był sma. czniejszy.“ Wilk z chęcią przystał na to. Chłop umywszy się, prosił wilka, aby mu dał do obtarcia ogona. I na to przystał wilk głupi. Wtedy chłop jak nie pochwyci i nie okręci ogona naokół ręki i jak nie zacznie okładać wilka potężnym, sękatym kijem dębowym, to aż wilkowi koście trzeszczały. Tak długo chłop go walił z całéj siły, aż wilk przyrzekł uroczyście

iż odtąd więcéj ludzi napadać nie będzie.

Wilczysko, wyrwawszy się z rąk chłopa, usiadło sobie z płaczem na górce w lesie, ogonem sobie łzy ocierając, a węglarz tymczasem obok téj góry, nałożywszy potężny ogień, zaczął smażyć mięso i kiełbasę. Niedźwiedź, niedaleko będący, uczuwszy zapach słoniny, poszedł w tę stronę, aby co dostać, a spotkawszy dzika namówił go, żeby szli razem. Gdy spotkali wilka, ten im odradzał, mówiąc, iż chłop ma rozum, a zatem łatwo ich pobije. Atoli niedźwiedź i dzik zanadto zaufawszy w swą siłę, poszli do chłopa. Niedźwiedź poprosił grzecznie o kawał mięsa i kiełbasy, grożąc, iż w razie odmówienia węglarza zagryzie. Ten mówi, że i owszem

ale prosi, aby jeszcze trochę zaczekali, aż się mięso i kiełbasa dosmaży. Jakóż niedźwiedź usiadł sobie przy ogniu, a dzik się położył i zasnął. Podał chłop niedługo niedźwiedziowi kiełbasę, a ten nie mógł jéj się odchwalić. „Zkąd to takie smaczne kiełbasy? zapytał. „Oto z tego, który tu leży," rzekł chłop skazując na dzika, „żeby go tak zabić, tobyśmy mieli moc kiełbas i mięsiwa. Wiesz co, mój niedźwiedziu, weź .ij ten kij i palnij w łeb między uszy dzika, a dopieróż zaczniemy smażyć kiełbasy co to ha." Niedźwiedź rozłakomiony nie dał sobie tego dwa razy mówić, jakóż wziąwszy pałkę, zabił na miejscu dzika. Wilk, gdy to widział, wyrzekł z cicha: to już jeden, wkrótce będzie i po drugim.

Chłop tymczasem ściął prędko wielką sosnę, aby niby nałożyć większy ogień do pieczenia dzika. Rozszczepił potem sosnę klinem, prosząc niedźwiedzia, aby mu był pomocnym. Ten był gotów, pytając, gdzie ma uchwycić. „Oto bratku,“ mówi chłop, „wetknij obie łapy w to rozczepane i rozdzieraj, a ja klin dalej pobijać będę. Skoro tylko niedźwiedź łapy w dziurę włożył, tak zaraz chłop klin wybił, a sosna zwarła się do kópy. Wtedy zaryknął niedźwiedź, iż łapy mu się wkleszczyły i że okrutnie go bólą. „Zaraz ja ci pomogę,“ rzekł chłop, jakóż huknął raz, drugi i trzeci potężnie w łeb niedźwiedzia, tak iż nieborak wkrótce żyć przestał. Wilk widząc to wszystko, zawył miłosiernie, a

powtarzając, że chłop ma rozum, opuścił nasze strony.

Tak pozyskał węglarz dzika i niedźwiedzią skórę.

Ztąd płynie nauka dla wszystkich, że nie sama siła i nie same bogactwa zwyciężają, jak raczéj cnota, nauka i praca. Kto chce być szczęśliwym, ten niech stara się o te trzy przymioty. I ubogi człowiek ma wielki rozum, jeźli się Boga boi, gdyż bojaźń Pańska jest początkiem mądrości. —

Opowiedział *Jan Szpandowski.*

Powiastka o małpie.

W Afryce żyła stara małpa z młodą. Stara małpa była bardzo ostróżna, ale za to młoda nader lekkomyślna. Przestrzegała nieraz swoje dziecko, aby

się nie oddalało zbytnie z lasu, i aby starannie unikało sideł: „Szczególnie przestrzegam cię moje dziecko, mówiła stara małpa, „nie dowierzaj ludziom i miéj się zawsze przed nimi na baczności.“



Małpka jedném uchem słuchała, a drugiém wypuściła. Skoro stara małpa poszła szukać pożywienia, daléjże nasza małpka do lasu. Suwała po

drzewach. Wtém ujrzy nagle strzelca. Zlękła się z początku niezmiernie, ale wnet ze strachu ochłonęła, gdyż strzelec udawał, że jéj nie widzi. Widział on ją atoli bardzo dobrze, atoli chciał on ją schwycić i myślał nad tém jakby małpę z drzewa zwabić. Niedługo usiadł i zaczął zzuwać i wzuwać buty. Potém zostawił parę butów, wysmarowanych smołą i udał, że odchodzi. Schował on się potem za krzakiem i patrzał, co będzie.

Małpka przyczaiła się najprzód do gałęzi, ale niedługo zeszła z drzewa i dalejże do butów. Skoro wzuła, tak smoła się do nóg przylepiła i ani rusz butów zezuć. Wtém wylatuje strzelec, chwyta małpkę i zabiera z sobą. Zaniósł ją do domu, gdzie było wiele małpek

i zaczął ją uczyć sztuk rozmaitych. Nauczyła się skakać, bębnić, dzwonić, strzelać z pistoletu, na psie jeździć itd. Gdy się już wyuczyła, sprzedano ją do Europy. Tęskni nieraz za Afryką i za matką i gorzko płacze, ale trudna rada musi cierpieć, kiedy nie chciała słuchać.



Dzieci i

Rzepa.

Poszło razu pewnego dwóch niegodziwych chłopaków na kradzież. W ogrodzie narwali sobie wiśni, w polu obłowili się strękami, a nareszcie zachciało im się rzepy. Była i rzepa w polu. Wyrwawszy kilka rzep, poszli w żyto, aby tam



enka.

zdobycz zjeść spokojnie. Nakoniec została im jeszcze jed rzepa.

Starszy Franek mówi, że jego rzepa. Na to młodszy k



ba: „Oho braciszku, ta rzepa moją i za nic w świecie wziąść jéj sobie nie pozwolę.“

Najprzód przyszło do kłótni, a potém do bijatyki. Rwali się

za włosy, rzucali się o ziemię i walili pięściami jeden drugiego, że aż stękało. Kiedy się w najlepsze biją, nadchodzi polowy i chwyta za kark obydwóch. Zaprowadził ich do wsi, gdzie sołtys wnet wydał wyrok téj treści, żeby obydwom dać kilka porządnych batogów.

Tak się téż stało, a potem już chłopcy wystrzegali się kradzieży.

Dzieci i sarenka.

Leśniczy Borowski miał troje dzieci: Kasię, Jadwisię i Władysia. Mieszkał on w wielkim, pięknym lesie, należącém do wsi Łąkowa. Dzieciom w tym lesie bardzo się podobało, a mianowicie latem. Ptaszęta nuciły wesoło, śliczne kwiatki roz-

nosiły woń lubą, a ile to tam było grzybów, malin, borówek, jeżyn, orzechów. Tóż to dzieci zbierały na wyścigi, a bywało, że i dwa korce samych laskowych orzechów na zimę naznosiły.

W lesie tym żyło wiele zwierząt, które już zaczynają być rzadkie w naszym kraju. Były tam zatem jelenie, lisy, jaźwce, wydry, a saren to całe stada suwały po boru. Na wiosnę często było można widzieć młode sarenki, postępujące obok kóz (samice sarny zowią się także kozami). Dzieci już od dawna pragnęły posiadać młodą sarenkę. Nakoniec spełniło się ich serdeczne życzenie, gdyż razu pewnego przyniósł im ojciec śliczną sarenkę. Trudno opisać wielką radość dzieci na widok

tego rozkosznego zwiérzątka. Zapominały one o jedzeniu, o chodzeniu do lasu, tak wciąż były zajęte sarenką. To ją pieściły, całowały, to przynosiły jéj trawę, listki, a sarenka dziwnie była łaskawą, iż chętnie jadła z ręki rośliny.

Niedługo jednak trwała ogólna radość, gdyż wkrótce powstały zatargi o to, czyją własnością sarenka być miała. Władyś, choć miał młodego lisa, pragnął jednakże i sarenkę posiadać. Zaczęły się tedy swary, na czém najgorzéj wyszła sarenka, gdyż nikt się nią szczegółowo nie zajmował. Nakoniec ojciec przyznał sarenkę młodszéj córce Jadwisi, gdyż starsza Kasia posiadała już ładną owieczkę.

Na załączonym obrazku widzicie siedzącą Jadwisię, dającą

sarence pożywienie, starsza Kasia w kapeluszu z różyczką stoi w środku, a Władyś, trochę smutny, że nie dostał sarenki, stanął po lewéj stronie. Widzicie, jaka sarenka łaskawa, że się pozwala głaskać i że z dłoni Jadwisinéj bierze chętnie trawkę. Sarenka tak się niedługo oswoiła, że chodziła z dziećmi do lasu, a zawsze napowrót do domu wracała. Wyrósł z niéj późniéj śliczny rogacz z rosochatemi rogami, który choć czasem na kilka dni wyleciał do lasu, to znowu wracał. Po dziś dzień rogacz ten znajduje się w Leśniczówce, gdzie leśniczy Borowski z dziećmi mieszka.

Koléj żelazna.

Niejedno z was widziało mo-

że na polu dziwną drogę, po której jeżdżą wozy parowe. Na ziemi leżą dwie żelazne koleje, po których pędzą od czasu do czasu ogromne wozy.

Nad drogą stoją słupy, a na nich spoczywają zawieszone druty telegraficzne.



Taka koléj żelazna przechodziła téż przez wioskę Anielin. Nauczyciel w szkole przestrzegał dzi[illegible] aby się nie zbliżały zbyt bliz[illegible] do kolei czyli żeleźnicy, gdyż łatwo spotkać je może nieszczęście. Jeszcze więcéj upominał, aby nie kładły na koléj kamieni, i aby broń Boże nie rzucały

czasem kamieniami do drutów telegraficznych i do dzwonków, przytrzymujących druty do słupów.

Dzieci pomnąc na słowa nauczyciela nie zbliżały się nigdy do żelaznéj drogi i nie rzucały kamieniami do drutów, dla tego téż w Anielinie nie było żadnego nieszczęśliwego przypadku. W innych okolicach zdarzało się czasem, że niesforne dzieciaki kładły kamienie na koléj żelazną i rzucały kamieniami do dzwonków telegraficznych, atoli w Anielinie nigdy się nic takiego nie stało, i zapewne się nie stanie. — Niech dzieci i w innych okolicach podobnie sobie postępują. Za psucie zresztą drutów telegraficznych i kolei żelaznych są bardzo surowe kary wyznaczone.

Czcionkami A. Schmaedicke w Poznaniu.